Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

NR 28 (2228) | PIĄTEK 6 kwietnia 1973 r. | CENA 50 GROSZY

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 WARSZAWA

UWAGA! KORESPONDENCI „ŚWIATA MŁODYCH"

Dziś ważna dla was informacja na str. 8.

SITTING BULL

Ostatni wielki wódz Indian

WIELKI CZAROWNIK z plemienia Siuksów, Czerwony Orzeł — po długich rozważaniach doszedł do wniosku, że najlepszym jego następcą będzie syn wodza — piętnastoletni Hakada. Wezwał go więc do tiotipi, czyli namiotu Rady.

— Syn Skaczącego Bawołu jest mile widziany w tiotipi. Niech ma uszy otwarte i niech słucha słów, które wypowie Czerwony Orzeł. Gdy słońce wstanie, młody Hakada, wojownik Deszczowa Twarz i czarownik, Czerwony Orzeł, udadzą się konno do podnóża Gór Skalistych. Stamtąd Hakada oddali się samotnie, aby prowadzić rozmowy z Wielkim Duchem. Kiedy powróci, dowie się swego nowego imienia i usłyszy, co postanowiła Rada Szczepu.

*

Wczesnym rankiem trzej Indianie opuścili osadę i pokłusowali na zachód. Po całodziennej jeździe dotarli do pięknej doliny, otoczonej starymi dębami i jaworami.

— Tutaj będziemy cię oczekiwać, Hakada! Zanim się jednak oddalisz, Deszczowa Twarz upoluje coś do jedzenia.

Nie upłynęło dziesięć minut, gdy przy rozpalonym ognisku znalazła się upolowana antylopa. Wspaniała pieczeń była już prawie gotowa, gdy nagle Deszczowa Twarz wydał okrzyk:

— Bawół! Patrzcie, bawół!

C. d. na str. 3

W kolorach TĘCZY

Spod umoczonego w farbie pędzla wyłania się na białym kartonie kudłaty, wesoły psiak. Goni motyla i prawie że szczeka, bo błyszczą mu oczy. Obok stołu przechadza się żywa perska kotka imieniem Pelasia. W ogrodzie harcuje potężny owczarek — Czahar. Tylko Wujek, zwyczajny kot — dachowiec, także czworonogi mieszkaniec tego domu, jest na wiosennej wyprawie. Pod drzwiami zamiauczy dopiero w porze obiadowej.

Za oknem pracowni widać rozłożystą wiśnię, będzie jeszcze piękniejsza, gdy zakwitnie. Na razie na jej gałązkach przysiadają przylatujące z niedalekiego lasu ptaki. Razem z puszystą Pelasią, Czaharem, Wujkiem mają swoje portrety na kartach wielu książek.

Pan **Janusz Grabiański** — artysta grafik, pracuje obecnie nad ilustracjami do nowego wydania elementarza. Uganiający się za motylem namalowany pies ma dobrze znane wszystkim imię AS.

C. d. na str. 7

Reprodukowanie w naszej gazecie kolorowych ilustracji jest niemożliwe. Możecie tylko wyobrazić sobie, że ten narysowany przez pana Grabiańskiego kot ma prześliczne błękitne oczy.

TARGI POZNAŃSKIE „WIOSNA 73"

COŚ DLA 7 MILIONÓW

Na wstępie wyjaśnienie: na targach wiosennych prezentuje się wyroby, które przemysł wyprodukuje na nadchodzącą jesień i zimę, na targach zaś jesiennych — to, co będziemy nosić na przyszłą wiosnę. Dlaczego tak się dzieje? Bo przecież przemysł planuje wysokość swojej produkcji na podstawie informacji handlu, handel zaś musi się zdecydować, co na nadchodzący sezon zamówić...

A więc — uwaga! Udajemy się do pawilonu nr 12, gdzie właśnie wystawiono ogromną kolekcję strojów młodzieżowych... Ale o tym przeczytajcie na str. 4—5.

„...Musiałem napisać do Was, gdyż ostatnie wydarzenia na kontynencie amerykańskim bardzo mnie poruszyły. Chodzi o Indian, ściślej Siuksów, którzy wykopali — jeśli można tak nazwać — „topór wojenny" i to dlatego, aby walczyć z głodem i dyskryminacją. Jestem ciekaw, co robi rząd Stanów Zjednoczonych, żeby polepszyć dolę sławnych niegdyś wojowników i prawowitych władców amerykańskich ziem. Proszę o podanie dokładnego przebiegu wydarzeń w mieście Wounded Knee...".

Wojciech Nowak
Grudziądz, ul. Warszawska 56/1

Listów o podobnej treści otrzymaliśmy więcej. Nie wiemy, czy nasza odpowiedź zadowoli wszystkich czytelników. Prawdopodobnie nie. A dlaczego? — ponieważ informacje o przebiegu wydarzeń w Wounded Knee były nader skromne i o wielu szczegółach sami nic nie wiemy. Niemniej postaramy się naświetlić złożoność całego problemu możliwie dokładnie i obiektywnie.

Co wydarzyło się W WOUNDED KNEE?

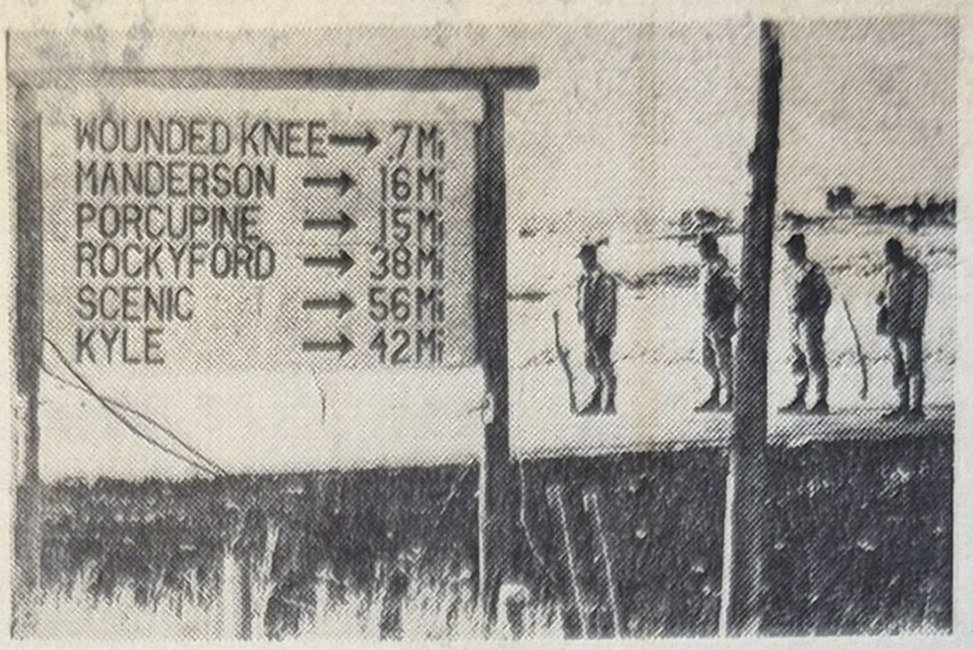

Wszystkie drogi wokół Wounded Knee zablokowane zostały przez wojskowe oddziały federalne.

Złamane przyrzeczenie

Wzorem mniejszości murzyńskiej, od dawna buntującej się przeciw dyskryminacji rasowej, na arenę polityczną Ameryki wkroczyli Indianie. Pierwsza większa akcja miała miejsce na jesieni ubiegłego roku. Otóż w listopadzie przybyło do Waszyngtonu 500 przedstawicieli Indian z terenu całych Stanów, aby wziąć udział w manifestacji pod hasłem „Śladem niedotrzymanych układów". Na delegatów czekało jednak — zamiast przyrzeczonych kwater — tylko schronienie w opuszczonym, zrujnowanym kościele, w którym biegały ogromne szczury. Nikt z przedstawicieli rządu nie chciał rozmawiać z Indianami. Nie pozwolono im również na złożenie hołdu poległym w czasie II wojny światowej żołnierzom — Indianom z pochodzenia. Delegaci ludności indiańskiej zrozumieli, że prośbami niczego nie załatwią. Aby więc zwrócić uwagę całego społeczeństwa na swoje krzywdy, zajęli gmach BIA — Biura do Spraw Indian. Był to okres przedwyborczy w USA, rząd dołożył więc wszelkich starań, aby nie doszło do akcji zbrojnej. Przyrzeczono Indianom utworzenie komisji, która opracuje i przedstawi prezydentowi program pomocy dla ludności indiańskiej. Dwaj pełnomocnicy rządu zapewnili również „skrupulatne rozpatrzenie" przedstawionej przez Indian listy żądań, zawierającej 20 punktów. Podpisali oni zobowiązanie, iż uczestnicy demonstracji nie będą ścigani sądownie.

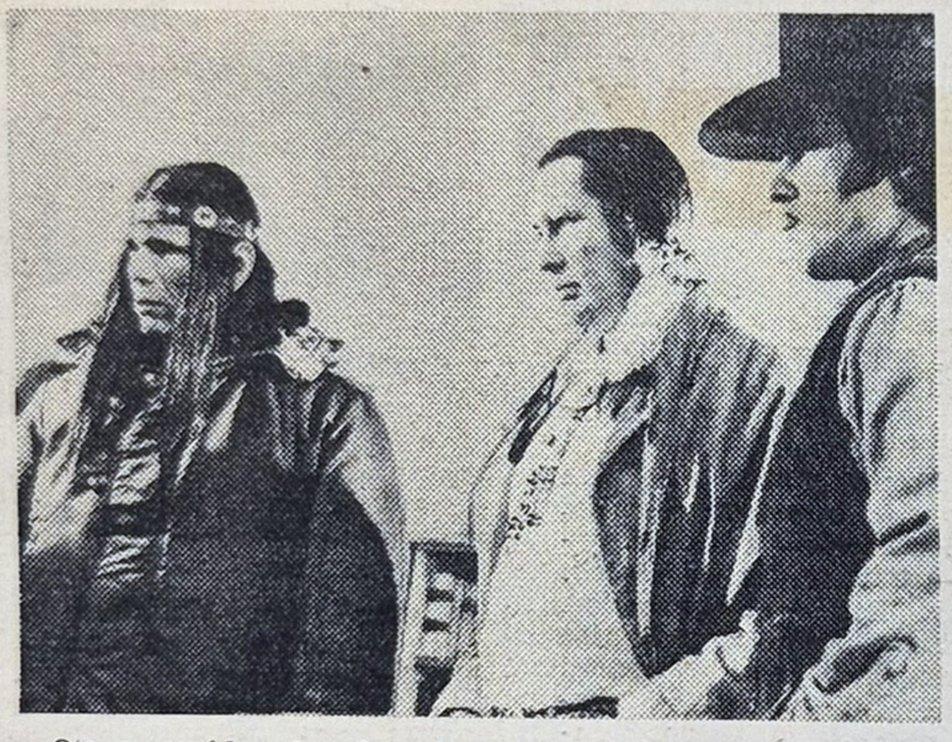

Oto przywódcy American Indian Movement (AIM) — Amerykańskiego Ruchu Indian. Od lewej: Dennis Banks i Russel Means.

Po tych wszystkich zapewnieniach Indianie opuścili gmach BIA wierząc, że tym razem wywalczyli coś dla swych czerwonoskórych braci. Mylili się. „Blade twarze" i tym razem złamały słowo. Po dwóch zaledwie dniach — pod pretekstem wyrządzonych w budynku szkód — rozpoczęły się represje i rewizje w domach Indian. Nie dość na tym, historia z zajęciem budynku BIA posłużyła przeciwnikom Indian zasiadającym w rządzie, do pozbawienia ich nawet tej pomocy, jaką dotychczas otrzymywali od państwa. Tak zakończyła się pierwsza runda indiańskich wystąpień przeciw niesprawiedliwości.

27 lutego br. około 200 Indian ze szczepu Siuksów zajęło niewielką osadę Wounded Knee, położoną w centrum Pine Ridge — jednego z największych re erwatów w Południowej Dakocie. Tym razem czerwonoskórzy uzbroili się w broń palną, w większości pamiętającą jeszcze czasy swoich przodków. Siuksowie pomalowali twarze na barwy wojenne, wzięli 10 białych zakładników z osady i oświadczyli, iż prędzej umrą niż opuszczą Wounded Knee, jeśli rząd nie spełni ich żądań.

A co zrobił rząd? W pierwszej chwili zrobił to, co zawsze, a więc przysłał wojsko, które zablokowało wszystkie drogi dojazdowe do Wounded Knee. Do ataku jednak nie doszło. Specе od spraw Indian w rządzie doszli do wniosku, iż akcja zbrojna może tylko przysporzyć Indianom męczenników, a całej sprawie nadać niepotrzebny rozgłos światowy.

Postanowiono więc skruszyć hardość Siuksów morząc ich głodem. Niestety, wszystkie zabiegi spełzły na niczym. Sprawa Wounded Knee stała się głośna nie tylko w całych Stanach, ale i na świecie. Z oblężonymi Indianami solidaryzowały się coraz szersze kręgi społeczeństwa amerykańskiego. W tej sytuacji władze stanowe i federalne musiały ustąpić. Odblokowano dostawy żywności i przystąpiono do pertraktacji. Z pierwszej fazy rokowań zwycięsko wyszli więc Siuksowie.

Druga faza była dłuższa i trudniejsza. Czego żądają Indianie? A więc przede wszystkim: zwrócenia im przez rząd USA terytoriów w obu stanach — Południowej i Północnej Dakocie, a także w Montanie i Nebrasce, poszanowania wszystkich traktatów zawieranych w przeszłości przez Siuksów z władzami USA, wreszcie przedyskutowania na forum Kongresu działalności ostro krytykowanego przez ludność indiańską tzw. Biura do Spraw Indian, oraz polepszenia warunków życia w rezerwatach.

Czym skończyły się rokowania w Wounded Knee, w tej chwili nie wiemy. Wiadomo tylko, iż były one bardzo długie i burzliwe — trwały z przerwami około trzech tygodni. Na pewno niektóre żądania Indian nie będą spełnione, szczególnie te, które mówią o zwrocie ich dawnych terytoriów. Plany utworzenia państwa indiańskiego są nierealne. Natomiast pozostałe żądania są słuszne i wcześniej czy później Indianie osiągną swoje cele. Szczególnie jeśli chodzi o zapewnienie większej samorządności w rezerwatach, stworzenie możliwości kształcenia, pomoc inwestycyjną itp.

W rokowaniach Departament Sprawiedliwości zadeklarował, iż Indianie mogą swobodnie opuścić Wounded Knee wraz z bronią. Co będzie dalej — pokaże przyszłość. Jedno jest pewne: wystąpienia Indian w Waszyngtonie w ubiegłym roku i w Wounded Knee — obecnie ujawniły, iż w społeczeństwie amerykańskim narodziła się nowa siła polityczna — „Red Power", tzw. „czerwona siła", z którą trzeba się liczyć.

Kolumnę opracował:
ST. BOROWIECKI

JAK ŻYJĄ?

W USA żyje obecnie około 800—900 tysięcy Indian. Większa część przebywa w rezerwatach, których jest na terenie Stanów około 200. W okresie powojennym rząd stosował, zapoczątkowaną przez Eisenhowera, politykę przesiedleń, chcąc w ten sposób doprowadzić do wymieszania się ludności indiańskiej z białą.

Dziesiątki Indian, zwłaszcza młodych, wywędrowało istotnie do wielkich miast, gdyż tylko tam mogli zdobyć wykształcenie i zawód. Dziś blisko 300 tys. Indian żyje w wielkomiejskich dzielnicach slumsów. Ich nadzieje na awans społeczny i asymilację z białymi spełzły jednak na niczym. Wielu rozgoryczonych wraca więc do wegetacji w rezerwatach. Nie mają tu żadnych perspektyw, ale są przynajmniej wśród swoich.

Indianie przechodzą dziś trudny okres. W jaki sposób mają przystosować się do współczesnej cywilizacji nie rezygnując jednocześnie ze swoich zwyczajów i starej kultury? Przywódcy indiańscy uważają, iż w rezerwatach powinny powstać własne formy gospodarowania i własny przemysł. Dopiero wtedy ludność indiańska stanie się niezależna od dobrej czy złej woli białych.

Posterunek indiański przed kościołem w Wounded Knee, który stanowił główny punkt oporu.

C. d. ze str. 1

W tej samej chwili Deszczowa Twarz — najlepszy myśliwy w całej osadzie — wypuścił strzałę z łuku.

Zraniony bawół z wściekłością rozszarpał kopytami miękką ziemię, zaryczał i ruszył na obozowisko. Świsnęła druga strzała z łuku Deszczowej Twarzy. Gdyby wojownik w porę nie uskoczył, bawół rozniósłby go na strzępy. Bizon raz chybiwszy celu, ponowił atak.

Deszczowa Twarz nie zdążył po raz trzeci złożyć się do strzału... W momencie największego niebezpieczeństwa, jakie groziło wojownikowi, 15-letni Hakada chwycił wetknięty pod drzewem oszczep walczącego przyjaciela i natarł na zwierza. Rzut był celny! Ostrze utkwiło głęboko. Ugodzony bawół przysiadł na tylnych nogach.

Deszczowa Twarz uścisnął dłoń swojemu wybawcy, a dumny z ucznia czarownik położył mu rękę na ramieniu i przemówił poważnie:

— Wielki Manitou wysłał z gór ducha, aby ten zastąpił ci drogę. Pokonałeś go w otwartym pojedynku. Spójrz, Hakada, na martwego bawołu. Przez niego Manitou nadał ci nowe imię. Odtąd będziesz się nazywał Siedzący Bawół, a we wszystkich plemionach Dakoty będą opowiadali o twojej bohaterskiej walce. Howgh!

Przepowiednia czarownika spełniła się. Wieść o czynie Sitting Bulla czyli Siedzącego Bawołu rozeszła się lotem strzały. Był to rok 1844. Upłynęło zaledwie trzy lata, a Siedzący Bawół otrzymał zaszczytną godność czarownika, zaś już po 6 dalszych latach mianowany został naczelnikiem szczepu Siuksów w wielkiej rodzinie plemion Dakota. Był to rzadki wypadek w historii Indian, aby w tak młodym wieku piastować aż dwa urzędy. Był jednak ku temu powód. Siedzący Bawół górował nad wszystkimi współplemieńcami rozumem, męstwem i dobrocią. Wszyscy badacze historii Indian uważają go za największego i najznakomitszego wodza czerwonoskórych wszystkich czasów.

*

Siedzący Bawół przez całe swoje życie walczył z białymi o prawa dla swego ludu, przeciw osadzaniu Indian w rezerwatach. Odniósł nawet szereg efektownych zwycięstw, np. 25 czerwca 1876 roku nad Little Big Horn rozbił doszczętnie słynny Siódmy Pułk Kawalerii generała Custera. Był to jednak ostatni większy sukces Indian. Od tego czasu rząd federalny zmobilizował znaczne siły do walki z czerwonoskórymi wojownikami. Koniec wolności Indian był więc tylko kwestią czasu.

Ostatni akt tragedii rozegrał się w 1890 roku w Wounded Knee. O tym co wtedy nastąpiło, opowiedzieli później niektórzy wodzowie, badani przez rządową komisję śledczą.

Ale zanim sprawy zaogniły się ostatecznie, do rezerwatu Pine Ridge, w którym leży Wounded Knee, wysłano kilka oddziałów wojska. Wówczas zabity został Siedzący Bawół, ponieważ nie pozwolił zamknąć się w areszcie. Zamordowanie słynnego wodza zwiększyło jeszcze bardziej wzburzenie Indian. Wreszcie nadszedł dzień 29 grudnia 1890 roku. W tym dniu do Wounded Knee przybyło około 300 Siuksów z gromady wodza Wielka Stopa, domagając się od administracji rezerwatu żywności i schronienia, jako że zima była wówczas wyjątkowo sroga. Zamiast pomocy, żołnierze otworzyli do nich ogień.

„Natychmiast Indianie dobyli noży, ale żołnierze zaczęli strzelać z karabinów i pistoletów — opowiadał przed komisją śledczą Krążący Jastrząb. — Nasi ludzie uciekli w głąb wąwozu, ale żołnierze stanęli nad jego krawędzią i wszystkich wystrzelali. Kobiety i dzieci uciekły w przeciwną stronę, a żołnierze pogonili za nimi i zabili je szablami".

Bitwa, a właściwie masakra bezbronnych ludzi w Wounded Knee była ostatnią walką. Od tej pory opór Indian ustał zupełnie. Przez 83 lata siedzieli spokojnie, godząc się z narzuconymi im przez białych warunkami egzystencji. Ale cierpliwość też ma swoje granice. Ostatni bunt Siuksów nie przypadkowo więc miał miejsce właśnie w Wounded Knee.

(S.B.)

Rys. M. Teodorczyk

SITTING BULL

Ostatni wielki wódz Indian

KN

GDZIE JEST BŁĄD?

NASZA obecna dyskusja toczy się w oparciu o wydrukowany kilkanaście dni temu list Joanny. Joanna pisała w nim o tym, że pewnego razu cała jej klasa poszła na wagary, a tylko ona jedna została na lekcji. Dlaczego tak postąpiła? Po pierwsze dlatego, że jest w ogóle przeciwna wagarom, a po drukie — miała być wtedy klasówka z matematyki, podczas której chciała poprawić swój stopień.

Od tamtej pory klasa wyłączyła Joannę ze swego grona. Nie zauważają jej, milkną na jej widok, wszyscy się od niej odsunęli. Joanna jest zrozpaczona. Samotność bardzo jej ciąży.

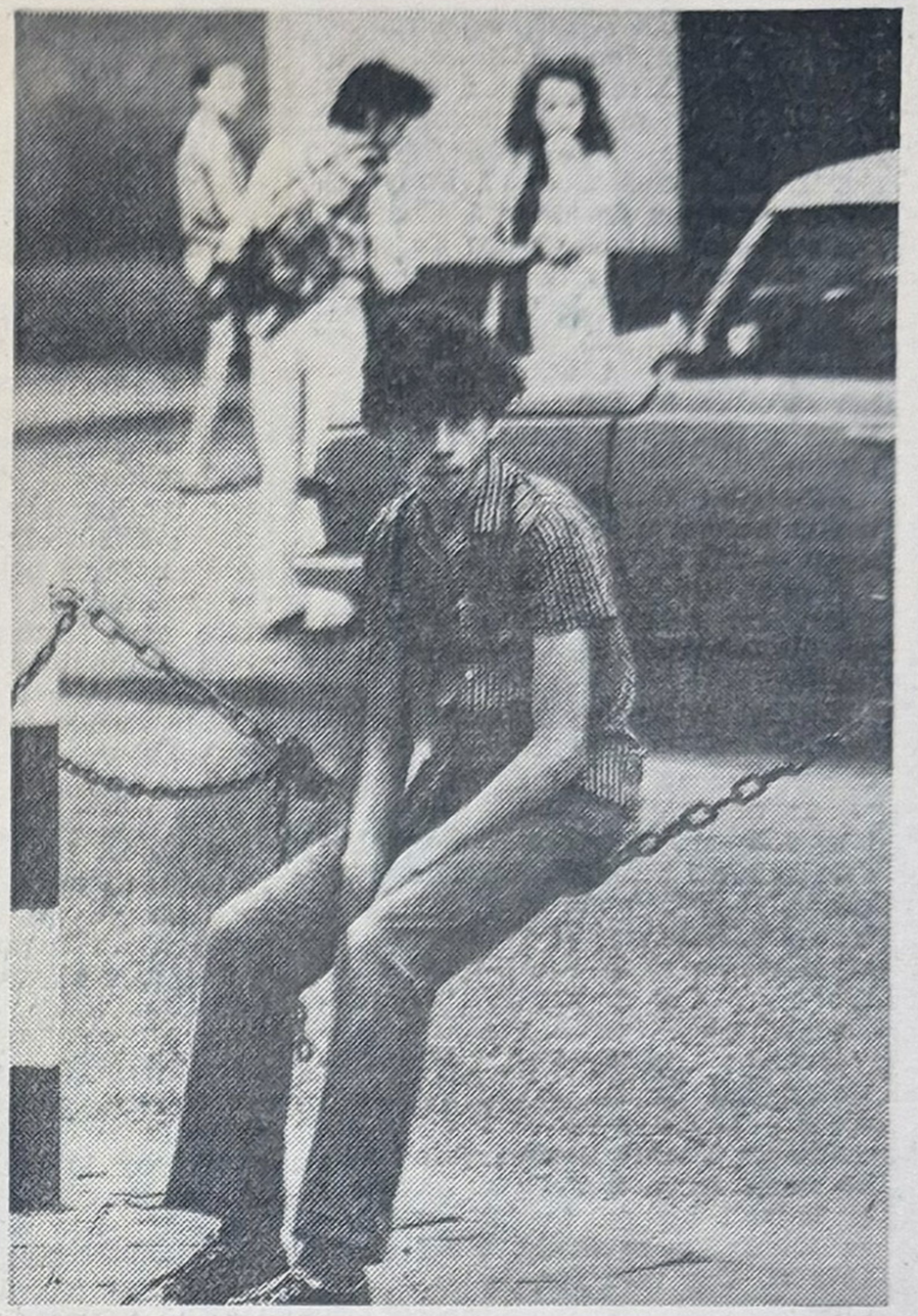

ODWAGA?

Jesteś przeciwna wagarom. Ja też nie jestem zwolenniczką takiego „wypoczynku". Człowiek zamiast korzystać — traci.

Jednak biorąc pod uwagę opinię klasy, to niestety, ta jest w takim wypadku zachwiana. Tak zawsze było i będzie. Bo przecież ci najbardziej pragnący wagarów nie mogą zrozumieć dlaczego ktoś inny zostaje. Nazywają go tchórzem.

Grażyna

OKAZJA?

Sprawa Joanny dała mi wiele do myślenia. Teraz to ona rozumie, że lepiej obrywać dwóje, ale być ze wszystkimi. Ale czy pomyślała o tym wtedy? Czy zastanowiła się nad tym, że jeśli zostanie na lekcji sama jedna z całej klasy — to ta lekcja się i tak nie odbędzie? Czy naprawdę chodziło jej tylko o tę klasówkę? A może uważała, że nastręcza się okazja do wybicia się ponad klasę?

„Nika"

KAŻDY CHCE BYĆ „FAJNY"

Joanna może być dumna ze swojej silnej woli. Jestem gotowa założyć się, że wśród tych, którzy poszli wtedy na wagary, byli i tacy, co chcieli zostać, ale po prostu bali się tych „odważnych", bo później uchodziliby za „frajerów", a chcieli być „fajni" i „morowi". Podziwiam Joannę za własne zdanie. Wszyscy powinni zrozumieć, że dobrze im radziła odwodząc od tego planu i powinni byli jej rady posłuchać. Teraz nie odzywają się do niej, bo nie mają po prostu odwagi przeprosić za krzywdzącą opinię lizusa i skarżypyty. W duchu jednak przyznają ci, Joanno, rację. Każdemu trudno jest przyznać się do błędu.

Ilona

REGUŁA GRY

Trzeba pamiętać o tym, że w życiu szkolnym obowiązuje reguła — jak wszyscy to wszyscy. Jeden za wszystkich — wszyscy za jednego!

Ewa

CZY TO WAGARY?

Ja też chodzę często na wagary. Przynajmniej tak to wygląda w oczach pewnej grupy kolegów i nauczycieli. Faktycznie ja i jeszcze inni często opuszczamy lekcje, szczególnie wiosną i na jesieni. Wcale jednak nie idziemy wtedy na spacer czy na wycieczkę, ale pomagamy rodzicom w pracach polowych. Nie wszyscy z naszej klasy muszą to robić, ale my musimy, bo nasze ręce są wtedy naprawdę potrzebne. Czy ja jestem wagarowiczem?

Heniek B.

A jak ty myślisz? Jakie jest twoje zdanie na temat reguł gry obowiązujących w klasie, tchórzostwa pilnych uczniów, odwagi wagarowiczów?

Czy rację miała Joanna, czy jej klasa? I w czyim rozumowaniu leży błąd?

Zastanów się! Napisz! Czekamy na twój list!

Na kopercie nie zapomnij zaznaczyć: Klub Nastolatków — „Gdzie jest błąd?"

Oprac. R. JABŁOŃSKA
Foto: K. Adamowski

KARIERA LWICY

Lwica nazwana Elzą służyła jako przynęta ulicznym fotografom na głównym deptaku w Nicei. Pewien amerykański profesor zlitował się nad jej losem. Odkupił zwierzę i odtąd Elza chowała się na wolności w posiadłości Eze-Village, własności pp. Singer. Tam zaprzyjaźniła się ze swoim rówieśnikiem, niemieckim dogiem. Zjadała 30 kg mięsa na tydzień, ale kiedy urosła i osiągnęła imponującą wagę 180 kg, zaczęła tęsknić za towarzystwem innych lwów, za ziemią swoich przodków. Państwo Singer szukali sposobu dobrego urządzenia Elzy. Powinna być na swobodzie, ale nie mogła już prowadzić życia dzikiego zwierzęcia, gdyż do tego nie była przyzwyczajona. Przyjaciele państwa Singer zabrali ją więc na fermę w Kenii. Elza z lotniska w Genewie poleciała do Nairobi. Na podróż obdarzono ją przepisową torbą podróżną przewidzianą dla zwierząt o potężnej tuszy. W torbie była jedna olbrzymia kość. **(bt)**

Coś dla 7 milionów

JEST ICH CZWORO, cała rodzina w komplecie. Ojciec, pan Waldemar Mocek, jest z zawodu mechanikiem, pani Eugenia, jego żona, pracuje jako pielęgniarka, syn Roman chodzi do 7 klasy, a córka Krystyna do klasy 5. Chodzimy sobie razem od stoiska do stoiska, interesuje nas bowiem, co sądzą o wystawionych w tym pawilonie strojach, jak oceniają wzornictwo i kolory i wreszcie, co sobie obiecują po targach. Przyjechali tu z Nakła, co dla sprawy jest istotne.

Krystyna: O... ten żakiet z bawełny bardzo mi się podoba. I niedrogi — 366 złotych.

Mama: Popatrz, tu są spodnie do niego, też czerwone. Kosztują 178 zł. To wszystko ze szczecińskiej DANY...

Ojciec: Uważacie, że to tanio? No powiedzmy, ale przecież każda dziewczyna w wieku Krystyny powinna mieć kilka takich zestawów, i to różnych. A tymczasem nie będzie miała... ani jednego. Nie wierzycie? No, to popatrzcie, ile sztuk tych żakiecików i tych spodni uszyje wasza ukochana DANA: cztery tysiące. Czy do nas do Nakła dotrą? Wątpię...

Roman: ...ta kurtka z elanobawełny jest bardzo fajna, kupiłbym sobie...

Ojciec: Proszę bardzo, jeżeli tylko znajdziemy w sklepie. Zwracam ci jednak uwagę, że laminaty nie są już szczytem mody. No i cena: 1270 zł. Czy uważasz, że to nie za drogo?

Krystyna: Mamo, zobacz te buty!

My, czyli ja i Kajtek: Są istotnie bardzo ładne: ze skóry podpalanej, na podeszwie gumowej złożonej z dwu warstw, czarnej i czerwonej. Tylko znowu sprawa ceny: 290 zł za obuwie na gumie...

Romek: Ale tego, to już chyba nie będziecie krytykowali. Przecież to fantastyczne!

Cała rodzina skupia się teraz wokół eksponatu. Jest to chłopięcy komplet tyrystyczny. Kosztuje zaledwie 398 zł, a przecież to i spodnie i bluza. Całość bardzo udana! Nie tylko my zatrzymujemy się przy tym stoisku; otacza je spory tłumek młodzieży. Romanowi podoba się jeszcze para spodni w kolorze fioletowym, a także ubranie, które nasz fotoreporter Kajtek nazywa „wranglerami", a co jest bluzą ze spodniami o najmodniejszym fasonie, pochodzi zaś ze szczecińskiej ODRY, znanej fabryki chłopięcych spodni i dżinsów. Właśnie, a co z dżinsami?

Są i one, i to piękne: z nowego rodzaju teksasu, takiego, co to w praniu... puszcza farbę! To podobno konieczne i najmodniejsze. Są i z welwetu, z aksamitu, bawełny i elanolnu, a także z nowej tkaniny, zwanej krempliną (po polsku — bistor). Ale niektóre bardzo drogie.

Krystyna dłuższą chwilę ogląda sukienkę w kratę z bawełny za 444 zł. Gdyby to można było kupić w Nakle...

Ojciec: Nie kupisz, popatrz na wysokość oferty: tylko 4 tysiące...

I w tym jest cały problem. Co z tego bowiem, że zgromadzono w Poznaniu na targach rzeczy piękne, modne i „światowe", skoro znajdą się co najwyżej w warszawskim „Juniorze" i po kilka sztuk w miastach wojewódzkich. Oferowanie handlowi czterech, pięciu czy nawet dziesięciu tysięcy sztuk tych ubiorów wtedy, gdy prawie 7 milionów młodych klientów czeka na nie w całej Polsce, jest grubym nieporozumieniem..

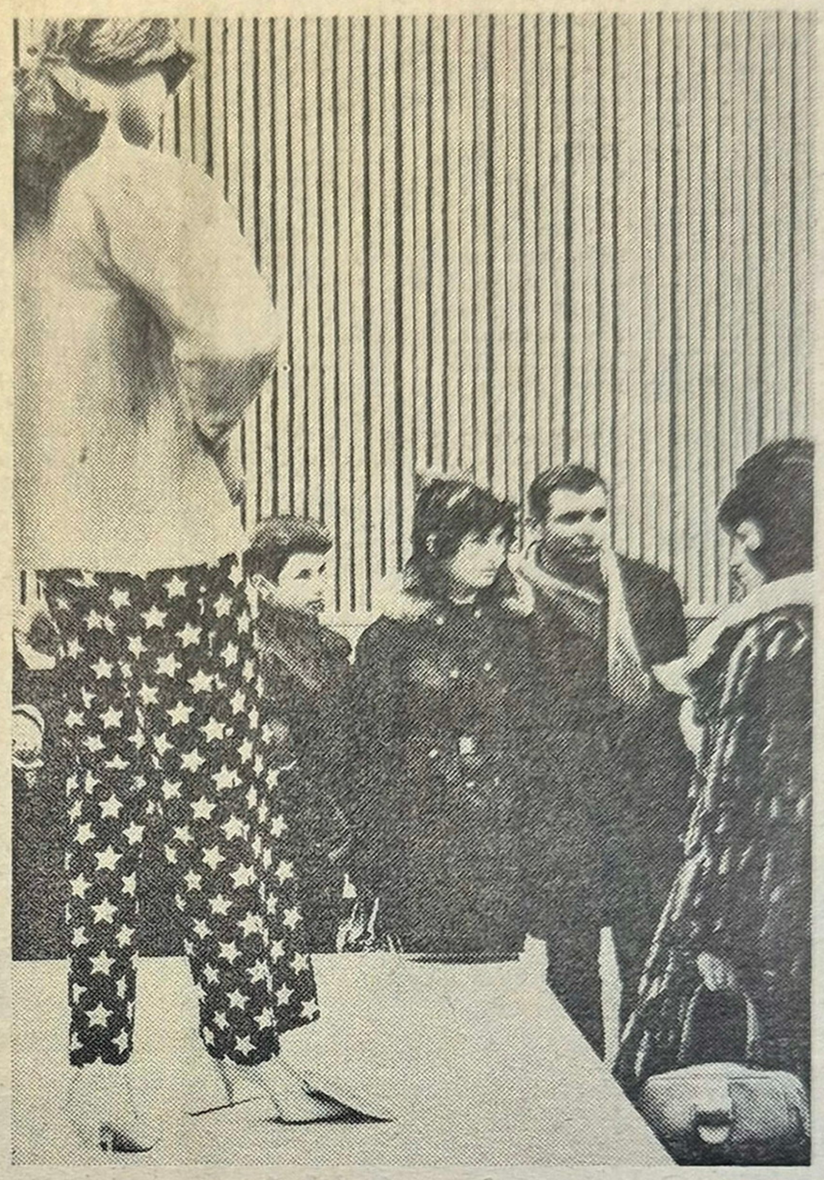

NIE WSZYSTKO tu można znaleźć — twierdzi BEATA STANISŁAWSKA uczennica VII klasy szkoły podstawowej nr 97 w Poznaniu. — Zgadzam się oczywiście na spodnie rozszerzane, ale wolę, żeby to rozszerzenie szło już od kolan. Lubię ubiory sportowe, ale przecież np. okrycia to nie tylko kurtki, które są teraz bardzo modne, lecz i płaszcze! A czy tu widać jakiś dobry płaszcz dla nastolatki...

Beata pokazuje buty; sama nie przepada za lakierowanymi, rozumie jednak, że są amatorki i takich butów. Modne są np. ze sztucznych skór o wyglądzie nieco topornym, a takich tu z wyjątkiem jednej pary ze Słupska — nie widać. Beata uważa także, że skoro nie mija moda na szorty, to powinno się je tu wystawiać, a tymczasem pokazano ledwie jedną czy dwie pary.

Tekst: R. GAŁUSZKA **Foto: K. Adamowski**

LUDZIE CODZIENNEJ PRZYGODY

TIR-em przez Europę

Siedzę w szoferce wielkiego samochodu transportowego „Saviem" z tabliczką „TIR" na masce, co oznacza transport międzynarodowy. Szosę stąd widać jak na dłoni, świeci jasne wiosenne słońce, za nami dopiero godzina jazdy, a przed nami trasa: Warszawa, Wrocław, Zgorzelec, Berlin, Bonn, Paryż, Madryt. Tylko, że ja wysiądę we Wrocławiu, natomiast pan Edward Zawada, który ten wóz prowadzi, pojedzie nim dalej. Przygoda...

— Tak samo myślałem — mówi pan Zawada — kiedy postanowiłem podjąć tę pracę. Przeżywałem w wyobraźni dalekie, ciekawe wycieczki, oczekiwałem niezwykłych wydarzeń, jednym słowem porywała mnie egzotyka podróży.

— Nie chce pan chyba powiedzieć, że nie zaznał pan żadnej z tych rzeczy...

— Ależ oczywiście, zaznałem, ale prędko mi to spowszedniało. Atrakcyjne dla wielu wyjazdy zagraniczne — dla mnie stały się chlebem codziennym. Przeciętnie trzy tygodnie w miesiącu jestem w obcych krajach i to prawie cały czas w ruchu. Nie wolno mi nigdzie przystanąć na dłużej, bo dostawy są terminowe, klient czeka, a pracodawca płaci mi od jak najszybszego dostarczenia towaru. W ten sposób zjechałem całą Europę wszerz i wzdłuż. Zrobiłem kilka milionów kilometrów...

Mijamy rozrzucone wzdłuż szosy osiedla. Pan Edward przystanie na krótko we Wrocławiu, gdzie umówił się ze swoim zmiennikiem, bo na tak daleką trasę jeździ zawsze dwóch kierowców. A później jeszcze tylko przystanek w Zgorzelcu na granicy — i w Europę! 22 godziny jazdy non-stop, 8 godzin snu i znowu 22 godziny nieprzerwanego podążania do celu. W Madrycie klient czeka bowiem z niecierpliwością na wieziony towar: polskie kurczęta.

Do Wrocławia wprawdzie jeszcze daleko i mamy czas, ale ja chcę wiedzieć jak najwięcej. Pytam więc dalej:

— Miał pan pewno jakieś nadzwyczajne przygody...

— To znaczy...?

— Awarie, na przykład...

— O, nie, takie przygody miewają tylko partacze. Każdy wóz przed wyjściem na trasę jest dokładnie sprawdzony, aby nie wysiadł gdzieś w drodze. Ja mam natomiast przygody — jeśli już koniecznie tak właśnie chce je pan nazywać — zupełnie innego rodzaju...

— Jechałem wtedy do Londynu przez Austrię. Wiedziałem, że klient czekał na mój towar z niecierpliwością, że dostawcy również zależało na pośpiechu, a tu wszystko jak na złość sprzysięgło się przeciw mnie.

Pierwszy etap udręki — granica austriacka. Celnicy strajkują. Przed szlabanem sznur pojazdów niemal kilkukilometrowy i żadnych widoków na szybkie przedostanie się na drugą stronę. Idę więc do głównego celnika i zaczynam do niego przemawiać: „Popieram wasze słuszne żądanie, jestem po waszej stronie, ale w wozie mam mięso, które może się zepsuć. I kilkaset austriackich rodzin zostanie pozbawionych w czasie zbliżających się świąt dobrej polskiej szynki, natomiast przedsiębiorca, któremu ową szynkę wiozę, odbije to sobie z pewnością na kieszeniach konsumentów, podrażając to, co mu do sprzedania zostało...".

Nie przypuszczałem, że moje argumenty trafią celnikowi do przekonania, ale będąc niemal w rozpaczy, mówiłem i mówiłem po niemiecku coraz płynniej i płynniej, aż celnik przerażony odpowiedzialnością za świąteczny nastrój kilkuset austriackich rodzin i podrożenie kosztów polskiej szynki — uległ. Powiedział nawet: „W końcu my tu strajkujemy, żeby te koszty były mniejsze" i... pomógł wyprowadzić wóz z szeregu oczekujących pojazdów, życząc dobrej drogi.

Potem przyszedł drugi etap udręki: punkt celny w Paryżu. — „Proszę zostawić samochód — powiedział celnik — i przyjść jutro". Wiem czym to pachnie, poszedłem więc od razu do naszego przedstawiciela w Paryżu i sprawę przedstawiłem. A potem, ponieważ okazało się raptem, że mam trochę wolnego czasu, zacząłem włóczyć się po mieście. Obejrzałem Louvre, pojechałem do Wersalu. I tak minął dzień. Przychodzę nazajutrz po samochód i znów słyszę tę samą śpiewkę: „Proszę przyjść jutro". Na trzeci dzień to samo. Zdenerwowanie rośnie. Jak tak dalej pójdzie, to w ogóle do Anglii nie dojadę. Celnicy francuscy bywają złośliwi, czasami przetrzymują samochody specjalnie. Po-

Przy wejściu na halę nr 12 stoi biurko, przy którym siedzi kilka studentek, jako że właśnie poznańscy studenci zaangażowani zostali jako personel pomocniczy. Na biurku leżą stosy jakichś druków. Patrzymy, czytamy: jest to ankieta, w której młodzież zwiedzająca młodzieżową halę ma się wypowiedzieć: co się jej podoba. Ankieta ma powodzenie, wypełnia ją prawie każdy zwiedzający. Instytut Wzornictwa, który w ten sposób chce poznać gusty młodzieży, będzie mógł po targach przesłać wnioski fabrykom i z pewnością będzie to korzystne dla sprawy modnego ubrania 7 milionów.

Tylko jedno nas niepokoi: czyżby ów instytut i owe fabryki jeszcze nie wiedziały, co jest modne i poszukiwane?

Nasza odpowiedź na ankietę brzmi: podoba nam się tu prawie wszystko, nie ma w zasadzie wzorów nieudanych, tylko produkujcie nam tego dziesięć razy więcej! I nie martwcie się, że w ten sposób powstaną za długie serie. 50 tys. takich pięknych „wranglerów" roztopi się w młodzieżowym narodzie jak porcja lodów w piecu hutniczym!

Z myślą o najmłodszych wybraliśmy się dodatkowo do hali nr 20, gdzie wystawiono nowości dla klientów w wieku od 2 do 11 lat. I tam jest kolorowo i ciekawie, ale już nie tak, jak w hali młodzieżowej. Musimy stwierdzić więc z przykrością, że młodsze dzieci nie mają się z czego specjalnie cieszyć. Owszem, nowe skafandry, spodnie, kurteczki czy płaszczyki są barwne, uszyte z miłych dla oka kolorów, ale ich wzory nie odznaczają się zbytnią nowoczesnością. I nadal jest źle z obuwiem dziecięcym. Istniejące u nas Zrzeszenie Producentów Odzieży i Bielizny Dziecięcej robi co prawda postępy, minione targi przyniosły więcej wzorów niż poprzednie, ale jakichś zasadniczych zmian nie widać. Nasz niewesoły wniosek brzmi: **będziemy mieli modną młodzież, natomiast nie zanosi się na to, że ulice wypełnią się modnymi dziećmi.** Kiedy to się zmieni radykalnie — trudno przewidzieć...

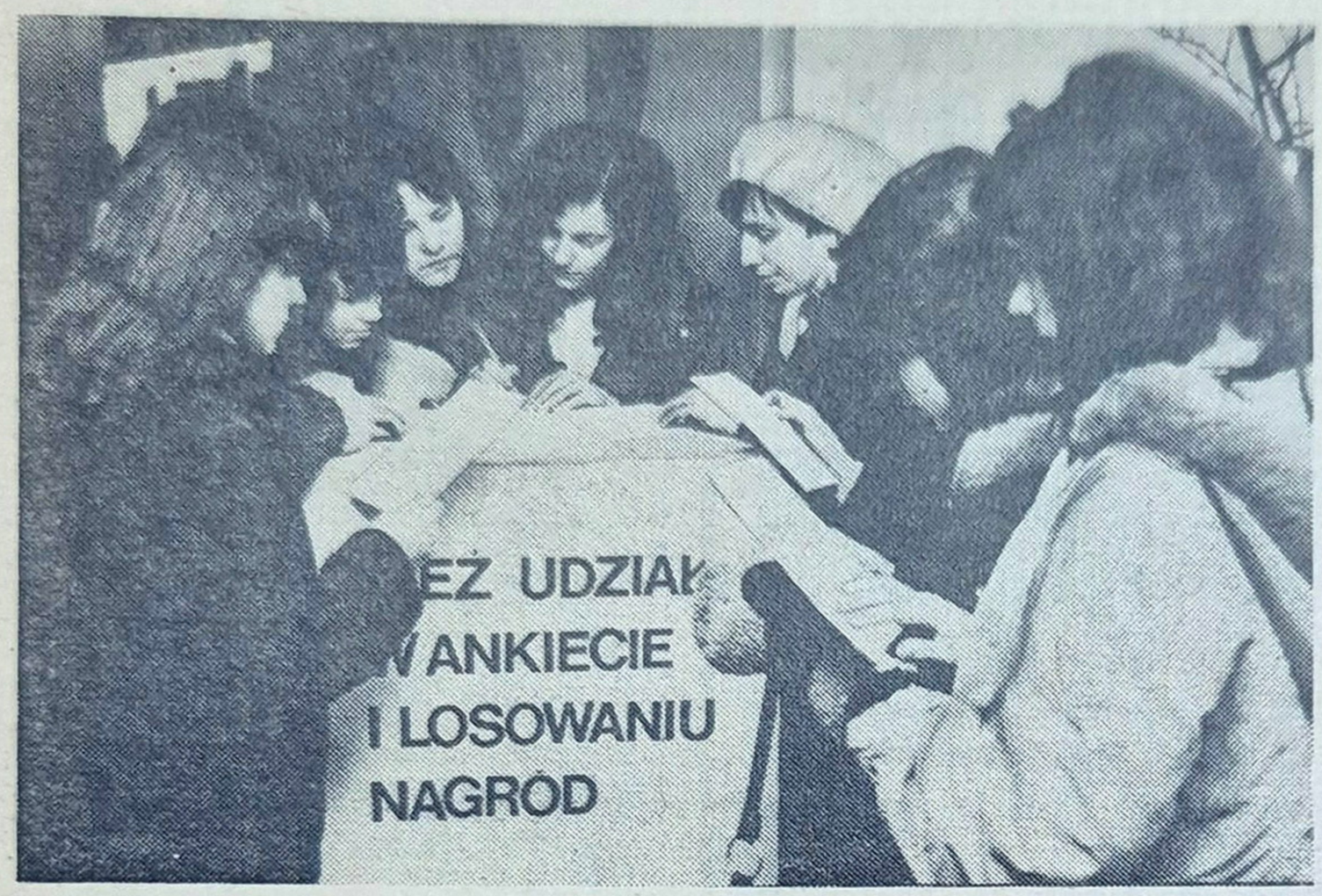

dobno niektórzy z nich powiązani są z miejscowymi producentami, którzy przetrzymywaniem pewnych ładunków chcą wyeliminować zagraniczną konkurencję, oferującą towary tańsze lepszej jakości.

W końcu jednak, używając znajomości na najwyższym szczeblu, nasz przedstawiciel uwolnił wóz z rąk francuskich celników i mogłem jechać, ale miałem trzy dni spóźnienia i przed sobą dwa dni jazdy non-stop. Pamiętam tę drogę jak zły sen. Osiem godzin nieprzerwanej jazdy, potem zmiana kierowcy, osiem godzin snu na małej, twardej leżance za fotelami szoferki i znowu osiem godzin jazdy. Byłem wtedy po raz pierwszy we Francji i choć zwykle staram się rozglądać po okolicy, teraz widziałem tylko szosę i nic więcej.

Wreszcie — prom, przeprawa przez La Manche, chwila odpoczynku i znowu za kierownicę. Nagle przestawienie się z ruchu prawostronnego na lewostronny, wzmożona uwaga, automatycznie wolniejsza jazda. A klient czeka!

Wreszcie Londyn, do klienta tylko kilka przecznic i raptem... korek! Korek — gigant! Głos klaksonów, gwizdki policjantów, narzekania kierowców i my w środku — z ładunkiem, który i tak jest spóźniony. Te kilkaset metrów dzielących nas od magazynów klienta jechaliśmy... cztery godziny!

Nasz przedstawiciel dyżurował przez dwie doby bez przerwy w biurze klienta, bombardując telefonami Paryż. A my zaraz po przywitaniu... usnęliśmy w głębokich biurowych fotelach! Tak byliśmy zmęczeni. A tu już czekała nas dyspozycja: jechać do Hiszpanii. Hiszpanii nie było w planie, ale nasza praca jest trochę jak wojskowa służba na froncie: dziś tu, jutro tam. Co było robić? Pojechaliśmy. Pobyt za granicą przedłużył się o tydzień. I gdyby nie postój w Paryżu, w czasie owej wyprawy niewiele bym zobaczył. Bo pośpiech przesłania wszystko — kończy opowieść pan Zawada.

Zbliża się Wrocław. Jeszcze tylko pytanie podstawowe:

— Co trzeba zrobić, żeby zostać kierowcą TIR-a?

— Znać co najmniej jeden **język zachodni**, skończyć **szkołę średnią**, jeździć przez **trzy lata samochodami z silnikami wysokoprężnymi**, a potem zgłosić się do naszej bazy, gdzie trzeba przejść „tylko" przez **egzamin, test inteligencji, kurs specjalistyczny** i różnorakie **sprawdziany**. Selekcja jest ostra. Chętnych zgłasza się wielu, ale przyjmujemy tylko ok. 20 proc. Bo kierowca TIR-a to nie tylko prowadzący wóz, ale także handlowiec i... dyplomata. Nie tylko z celnikami są kłopoty. Czasami trzeba samemu zadecydować o sprzedaży towaru, bo klient w ostatniej chwili rozmyślił się, albo uważa, że towar jest nie tej jakości, co trzeba i nie chce go przyjąć. Czasami zaś po prostu ktoś inny oferuje lepsze ceny...

— Jednym słowem, w czasie tej pracy spotykają pana same kłopoty. Nawet zwiedzać nie ma kiedy... Więc dlaczego jeździ pan nadal?

— Ba... Lubię emocje, napięcie, pośpiech... Lubię duże przestrzenie. I lubię nieznane: nie wiem co mnie spotka, czemu będę musiał sprostać. A ten zawód dostarcza mi tego jak żaden.

— Zatem: szerokiej drogi, panie Edwardzie...

WOJCIECH PIELECKI

Foto: Dorota Bilska

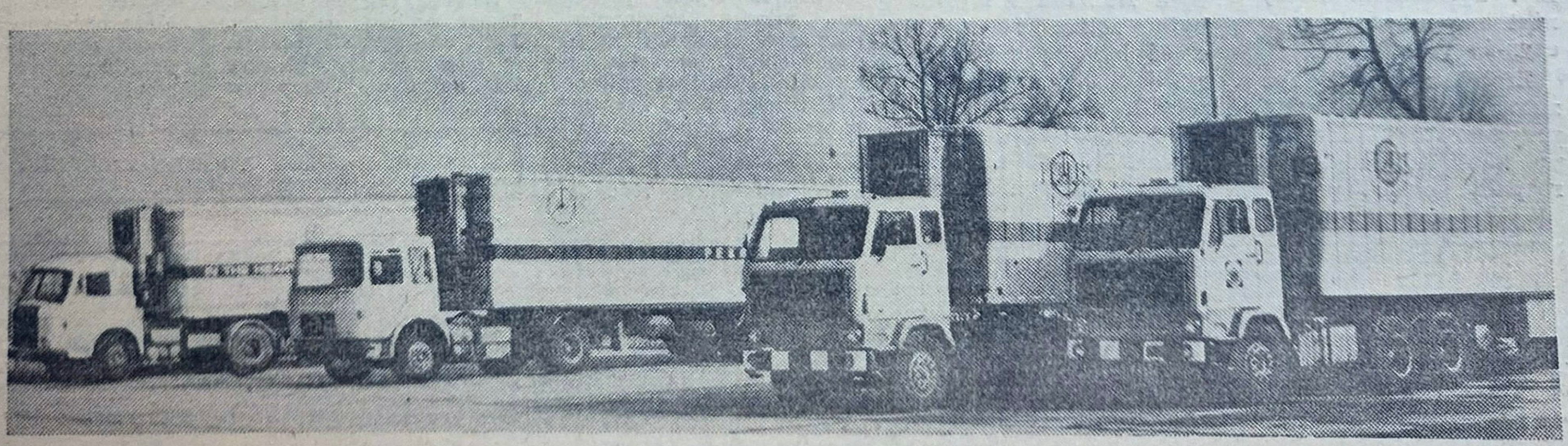

WIDMO w zamku KERMOAL

Koń — widmo

FRANÇOIS nie kłamał mówiąc, że nigdy nie bał się ciemności. Ale teraz, kiedy został sam, poczuł pewien niepokój myśląc o dziwnym zachowaniu Jaouenów, a zwłaszcza o tajemniczych słowach Jean-Marca. Co tu się dzieje o północy? Pierwszy raz miał sam spać w takim oddaleniu. Usiłował nie myśleć o tym, ale wiedział już, że nie zmruży oka.

Układając swoją bieliznę w starej bretońskiej szafie myślał, że Jaouenowie nie należą do ludzi, których ponosi wyobraźnia. Jean-Marc też stąpa mocno po ziemi. Co ich więc tak poruszyło? Jean-Marc mówił o halucynacjach. Polegają one na tym, że widzi się coś, co nie istnieje naprawdę.

François powoli zamknął szafę, która skrzypnęła, jak to tylko stare meble potrafią. Podłoga też skrzypiała. Łóżko trzeszczało przy siadaniu. A wszystkie te trzaski i skrzypienia wzmagały złe samopoczucie chłopca. Nagle odniósł wrażenie, że nie jest już sam w pokoju, a nie miał odwagi nazwać tego słowami, które przekształciłyby jego niepokój w strach. Przestał panować nad swymi myślami.

Ktoś, kto nie istnieje, jest duchem. Czy zamek nawiedzają duchy? Też coś! Przetrząsnął w Kermoalu wszystkie kąty, a nigdy nie napotkał żadnej zjawy. Kiedy w jakimś zamku straszy, wie o tym cała okolica. Wiedzieliby o tym Jaouenowie, rozmawialiby o tym wszyscy. Tymczasem nigdy nikt nie napomknął o czymś takim.

Zrobiło mu się trochę zimno. Marguerite przygotowała drewno w kominku, ale nie rozpaliła ognia, ponieważ zamierzała postelić mu w pokoju obok Jean-Marca. Skąd ta przezorność? François podpalił papier i wkrótce palenisko się rozjaśniło. Dochodziła dziesiąta. Jeszcze dwie godziny czekania! François otulił się szlafrokiem, przysunął do kominka fotel i skulił się na nim.

Ktoś usiłuje obrzydzić mu Kermoal. Do tej pory zamek był miejscem przyjaznym, czymś tak swoiskim jak domowe zwierzę. Nie wyobrażał sobie, że może mu tu coś zagrażać. A teraz Kermoal groził i to w najbardziej niemiły sposób. W ciszy, nocą.

Kominek dymił. François otwierając okno zerknął przez żaluzje. Jedna z listewek była złamana i można było zobaczyć sporą część landów z ledwie rysującą się drogą, która wiła się między złomami skał i kępami janowca. Nic się nie poruszało. Księżyc w pełni rzucał prawie aż na drogę cień zamkowych wież. Morze uderzało o brzeg tak blisko, że słychać było syk fal na piasku. O północy morza prawie nie będzie słychać, odkryje rozległą plażę usianą okami wody, w których wiosną roi się od krewetek i krabów.

Ale chłopcu nie połowy były w głowie. Przez chwilę obserwował krajobraz, potem wrócił na fotel i wyciągnął ręce w stronę ognia. Ciepło zaczęło go morzyć, jednak próbował się otrząsnąć i rozwiązać tajemnicę drogą eliminacji, jak to miał w zwyczaju. Jeśli zrezygnować z hipotezy ducha, to co zostaje? Może ktoś się ukrywa w zamku? Zbiegły więzień? Mało prawdopodobne. Przemytnicy? Wszystko to nie trzyma się kupy. Jaouenowie zawiadomiliby natychmiast policję.

François postanowił rano przestudiować historię Kermoalu. Ojciec często mu mówił: „Powinieneś przeczytać broszurę księdza Flohica", ale chłopca niewiele obchodziła przeszłość zamku. Jak wszyscy wiedział, że zamek został zbudowany w końcu XII wieku, doświadczył wojen, był schronieniem różnych uciekinierów. Wiedział o tym wszystkim, ale Kermoal naukowców nie był prawdziwym Kermoalem, zamkiem, gdzie bawił się w chowanego i galopował po niosących echo korytarzach. Teraz nadszedł czas na dokładne zbadanie przeszłości zamku i stwierdzenie, kto właściwie w nim mieszkał.

Jedenasta. François chętnie położyłby się spać, wrócił jednak do okna. Wieże rzucały już krótszy cień. Wkrótce księżyc zawiśnie pionowo nad zamkiem. Napełniał przestrzeń błękitnawą mgłą, która zacierała kształty, ale silniej wydobywała dźwięki. Gdzieś cicho nawoływał puszczyk. Kto nadejdzie?

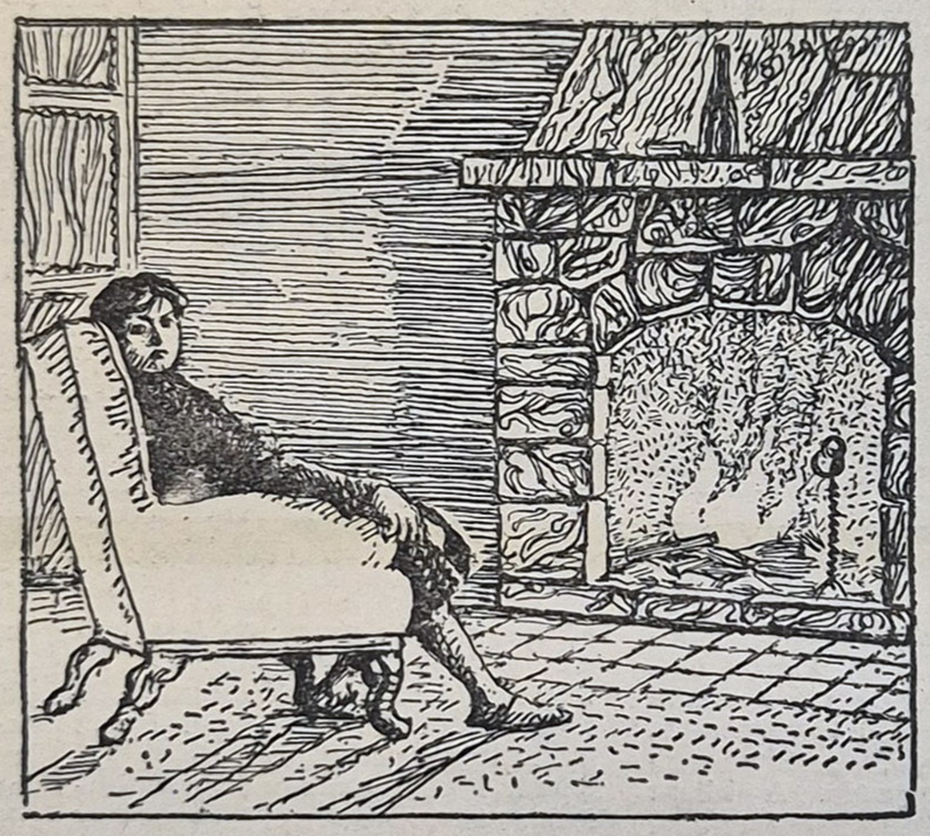

François podsycił ogień i zgasił lampę. Płomienie wystarczająco oświetlały pokój — nie należało zdradzać swojej obecności temu, kto miał nadejść. Na pewno był czujny; Jean-Marc kazał przecież słuchać i patrzeć nie pokazując się.

W pół do dwunastej. François nie mógł już usiedzieć. Przyszło mu do głowy, aby iść po Jaouenów, ale nie znajdował w sobie odwagi na samotne przemierzenie rozpaczliwie pustych sal parteru. Poza tym należało samemu stawić czoło tej historii. Zaczął uważnie śledzić fosforyzujące w zmroku wskazówki zegarka.

Za dziesięć dwunasta, nie mogąc powściągnąć niecierpliwości, zaczaił się w rogu okna, podniósłszy kołnierz szlafroka, bo przenikający przez żaluzje chłód stawał się coraz dotkliwszy. Umilkł puszczyk, od strony morza dochodził już tylko głuchy szum. Od czasu do czasu za plecami François słychać było szelest osypujących się głowni. Czy To nadejdzie drogą, czy też wyjdzie z zamku?

Północ. Ciągle nic. Czy Jean-Marc się omylił? Nic nie widać, nic nie słychać. Cienie wież jakby skupiły się u stóp murów. Landy zalewała księżycowa poświata.

Nagle François drgnął. Trącił czołem o żaluzję. Jakiś dźwięk? Nie, nie ma w nim nic tajemniczego. To najzwyczajniejszy w świecie tętent konia kłusującego za murami. Wyraźnie słychać było rytmiczny tupot kopyt. Zbliżał się z prawej strony, wkrótce przebiegnie przed bramą.

Z tej części zamku droga biegnąca poza murami była widoczna, ale François mimo to przyciskał głowę do żaluzji, wytrzeszczał oczy. Koń zbliżał się przechodząc w stępa, lekko wydmuchując powietrze, jakby zganiał z siebie muchy. Nagle François zorientował się, że koń jest już na terenie posiadłości.

Ale jak się tu przedostał? Brama była zamknięta, mury wznosiły się na dwa metry, nie było w nich wyrwy. Ruchy konia zdradzały dolatujące odgłosy. Słychać było spokojne postukiwanie podków, z których jedna dźwięczała jakby źle przybita. Koń zmierzał na środek dziedzińca. Teraz powinien się ukazać! Zatrzymał się jednak, potrząsnął głową. Słychać było brzęk munsztuka. A więc był osiodłany? Gryzł wędzidło? Niósł jeźdźca? Jeźdźca niewidzialnego jak wierzchowiec! Jeźdźca, który dał ostrogę, bo koń znów ruszył.

François dygotał z zimna, a jednak policzki i czoło mu płonęły. Koń jeszcze bardziej się zbliżył, za chwilę znajdzie się akurat pod oknem. François nie wytrzymał, podniósł haczyk, który przytrzymał skrzydła żaluzji, ostrożnie je uchylił i wysunął głowę. Światło księżyca uwydatniało zarysy skał, każdą kępę trawy. Koń powinien już być tuż pod oknem, ale wzrok odkrywał tylko guzowatą ziemię landów, piasek, gdzie lśniły blaszki miki. Koń parsknął, odskoczył na bok. Zatrzymało go cmoknięcie.

„Niemożliwe!" — pomyślał François.

Wychylił się jeszcze bardziej. Koń się oddalał, potem znów zatrzymał, akurat u stóp wieży, która zasłaniała widok na morze. Serce François silniej zabiło. Czy jeździec zsiądzie z konia? „Jeśli usłyszę, że idzie, będę krzyczał" — pomyślał.

Odgłosy umilkły. François odetchnął. Wydawało mu się, że bardzo długo panowała kompletna cisza. Potem koń niecierpliwie zaczął grzebać ziemię. Ciągle tu był, niewidzialny w świetle księżyca jak meduza w wodnej głębinie. Co robił jeździec? Czy zsiadł z konia? Kim był: Człowiekiem z minionego świata? Może był w zbroi? Może obserwował François przez otwory opuszczonej przyłbicy?

C.d.n.

Ilustrował BOGDAN ZIELENIEC

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. RED. Nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa, Książka, Ruch", Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy, tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul. Bagatela 14, tel. 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa, Książka, Ruch", W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4,30, kwartalna zł 13,00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr I-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa, Książka, Ruch", W-wa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Prasa, Książka, Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO I-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa, Książka, Ruch", Warszawa, ul Towarowa 28. Adres redakcji: Mokotowska 24 00—561 Warszawa. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039.

Zam. 1363 R-74

W kolorach tęczy

C. d. ze str. 1

Jeżeli ilustracje wyjdą z drukarni tak kolorowo i pięknie jak wyglądają w oryginale nowy elementarz z ilustracjami Janusza Grabiańskiego będzie miłą książką dla pierwszaków.

W KRAINIE BAŚNI

Pana Janusza Grabiańskiego znacie na pewno jako autora ilustracji przedstawiających urocze zwierzaki. Wiewiórkę — Rudzię z puszystym ogonem, kota w butach, zatroskanego lwa unoszącego w górę obolałą łapę, cudowne jaskółki i sikorki osiodłane przez duszki oraz tysiące innych stworzeń, zamieszkujące świat baśni i fantastycznych opowieści.

Artysta od dwudziestu lat współpracuje z „Naszą Księgarnią" i jest jednym z twórców, dzięki którym polskie książki dla dzieci otrzymują na międzynarodowych wystawach i targach wysoką ocenę. Artysta ma wiele nagród i medali, ale najwyżej ceni ostatnie wyróżnienie, gdyż jest ono przyznane przez same dzieci... Pan Janusz Grabiański został odznaczony Orderem Uśmiechu, którego najserdeczniej mu gratulujemy.

W 23 JĘZYKACH

Artysta jest również autorem ilustracji dziesiątków książek wydawanych przez wydawnictwa zagraniczne. Całą ścianę jego pracowni zajmują ustawione na półkach książki w 23 językach świata. Wydawnictwa fińskie, duńskie, hiszpańskie, japońskie sąsiadują z francuskimi, angielskimi i niemieckimi, a wszystkie zawierają piękne, barwne ilustracje wykonane przez polskiego grafika. Wśród nich znajdują się i książki poważniejsze, przeznaczone dla starszej młodzieży. Niedawno w wydawnictwie wiedeńskim „Uberreuter", z którym pan Grabiański współpracuje od roku 1959, ukazały się opracowane dla młodzieży dramaty Szekspira. Wydano je w pięciojęzycznej wersji: po angielsku, francusku, holendersku, duńsku oraz w narzeczu afrikaans, używanym przez Burów (potomków holenderskich kolonizatorów, przybyłych w XVII w. do Afryki Południowej).

Z tą książką wiąże się pewna anegdota. Wiedeńskie wydawnictwo zostało zaalarmowane, iż ilustracje nie przedstawiają znanego wszystkim angielskim czytelnikom teatru Szekspira, lecz zupełnie inny budynek... Redaktorka zajmująca się w wydawnictwie angielskim sprawami grafiki, dołączyła do swojego listu (utrzymany był zresztą w tonie bardzo pouczającym!) starą ilustrację, która według niej przedstawia właściwy teatr.

Okazało się jednak, że ta rodowita Angielka fatalnie się myliła... Rację miał polski ilustrator, co łatwo udowodnił odsyłając ową panią do angielskiego wydania dzieła, na którym oparł się, wykonując rysunek Globe Theatre — najsłynniejszego ze starych teatrów Londynu, na którego scenę dostarczał swoje dramaty sam William Szekspir.

Anegdota ta może być dowodem jaką poważną pracę ma przed sobą ilustrator książek, zanim zabierze się do malowania. Musi doskonale znać historię i styl epoki, o której w książce mowa.

OD DZIECI — NA ULICĘ MARGERYTKI

Pan Grabiański otrzymuje listy od dzieci z całego świata. Przychodzą na jego prywatny adres do domu w Falenicy, przy ulicy o romantycznej nazwie Margerytki. Pisane są w różnych językach i nieraz zupełnie niewprawnymi, dziecięcymi literami. Zawierają podziękowania za ilustracje, które się podobały, prośby o autograf, pytania o najrozmaitsze rzeczy.

Artysta dość często podróżuje po świecie i wówczas miewa spotkania z młodymi czytelnikami. W Stanach Zjednoczonych, w Chicago, w sali wypełnionej przez tysiącosobową publiczność, na poczekaniu robił rysunki. Cała widownia krzyczała: kota! psa! krokodyla! i za chwilę zwierzęta te pojawiały się przed nimi. Kiedy zaś chciał zrobić niespodziankę, przekonywał się jak błyskawicznie dzieci orientują się, co za zwierzę zamierza narysować. Gdy tylko zaznaczył kredką czubek zaokrąglonego ucha, a w pewnej od niego odległości zrobił ogon, rozległ się triumfalny okrzyk — mysz! Podobne spotkania miał w Anglii, w Londynie, Bristolu oraz Swindon, gdzie działa polska szkoła.

Wielka szkoda, że tego rodzaju imprez nie organizują nasze rodzime wydawnictwa! Dla dzieci byłaby to przyjemność ogromna. Najbliższe spotkanie odbędzie się aż w Austrii, w Wiedniu i Grazu.

Na półkach tysiące ilustracji i projektów okładek stanowią niemałą bibliotekę, w której powtarza się nazwisko Janusza Grabiańskiego. Plakat widoczny na zdjęciu też na pewno jest wam znajomy.

Artysta otrzymał liczne nagrody krajowe i zagraniczne. Złote medale na wystawach w Mediolanie, Bremie, Catanii. Srebrne i brązowe w Indiach, Włoszech i NRD. Wielokrotne nagrody i wyróżnienia za najpiękniejsze książki w Republice Austriackiej. Kilka nagród wydawców za Najlepszą Książkę Roku. Jednym z ostatnich krajowych wyróżnień jest przyznanie mu Orderu Uśmiechu.

Foto: CAF

KOLOROWE SPOJRZENIE

Dyplom pan Janusz Grabiański zrobił w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych u prof. Józefa Mroszczaka. Pierwszą drukowaną pracą były ilustracje do książki Marii Konopnickiej pt. „Franek". Od tego czasu powstały tysiące ilustracji, okładek, kilkadziesiąt plakatów, kilka serii znaczków pocztowych (słynne psy i koty) serie pocztówek, etykiet i projekty opakowań.

Każdy grafik stara się znaleźć swój styl. Zdaniem pana Grabiańskiego sprawa ta jest organicznie związana ze sposobem patrzenia na świat. Artysta uważa, że sama natura, jej barwy i kształty są tak piękne, iż żaden człowiek nie jest w stanie nic oryginalniejszego i ładniejszego wymyślić. Dlatego też nigdy nie poddawał się modnym prądom, zawsze będąc wiernym swojemu sposobowi spojrzenia na świat. Może dlatego wśród pędzli tkwi w jego pracowni mieniące się kolorami tęczy pawie pióro?

W pracy grafika — ilustratora książek ogromne znaczenie ma kolor. Oryginały zawsze mają piękne barwy. Niestety, powielone w gotowych już książkach wiele tracą... Sprawia to technika drukarska, która u nas w porównaniu z innymi krajami ma jeszcze dużo do udoskonalenia. Gdy to nastąpi, polskie książki dla dzieci będą się cieszyły jeszcze większym uznaniem w świecie.

A. GRZYBOWIECKA

ZASADNICZA SZKOŁA GÓRNICZA

Kopalni Węgla Kamiennego „JANINA" w Libiążu powiat Chrzanów

OGŁASZA WPISY

do klasy I na rok szkolny 1973/74 dla kandydatów, którzy ukończyli szkołę podstawową oraz 15 rok życia, a nie przekroczyli 18 lat. Nauka trwa 3 lata. Dla zamiejscowych szkoła prowadzi internat.
W czasie trwania nauki wszyscy uczniowie otrzymują pomoc materialną w wysokości:
1) 400 zł w klasie I (lub 519 zł, jeżeli mieszkają w internacie)
2) 500 zł w klasie II (lub 519 zł, jeżeli mieszkają w internacie)
3) 700 zł w klasie III, a dla uczniów nie korzystających z internatu ekwiwalent pieniężny za 2 tony węgla rocznie.
W czasie wakacji uczniowie otrzymują 50 proc. pomocy materialnej.
Uczniowie klasy II w wieku ponad 16 lat i uczniowie klas III otrzymują premie do 25 proc. — za dobre wyniki w nauce.
Ponadto uczniowie otrzymują bezpłatnie umundurowanie: w klasie I i II — granatowy mundurek szkolny, aksamitną czapkę uczniowską, dwie koszule dzienne, półbuty skórzane czarne, w klasie III — szarostalowy mundur górniczy, szarostalowy płaszcz, czapkę uczniowską, dwie koszule dzienne i półbuty skórzane czarne.
Najlepsi uczniowie na zakończenie roku szkolnego otrzymują nagrody rzeczowe.
Kopalnia zapewnia uczniom bezpłatne korzystanie z krytego basenu pływackiego. Uczniowie mogą uzyskać kartę pływacką oraz prawo jazdy na motocykl i samochód.
Wszystkim absolwentom kopalnia gwarantuje zatrudnienie i wysokie zarobki.
Ukończenie szkoły uprawnia absolwentów do wstępu do 3-letniego Technikum Górniczego.
Zapisy przyjmuje sekretariat szkoły, Libiąż, powiat Chrzanów, woj. krakowskie, gdzie też należy zgłosić się osobiście celem przeprowadzenia badań lekarskich i złożyć dokumenty: podanie podpisane przez rodziców, życiorys, świadectwo szkolne, dokument urodzenia.
PRZYJĘCIA DO SZKOŁY ODBYWAJĄ SIĘ BEZ EGZAMINÓW WSTĘPNYCH.

K-87

UWAGA

CZŁONKOWIE LIGI KORESPONDENTÓW!

ZADANIE SPECJALNE

DLA WSZYSTKICH —

SPOSTRZEGAWCZYCH,

NIEOBOJĘTNYCH, CENIĄCYCH PRACĘ!

Pochwała dobrej roboty

Niektórzy są zdania, że o ludziach dobrze pracujących nie warto pisać, bo obowiązkiem wszystkich jest pracować dobrze nie oglądając się na pochwały i wyróżnienia.

Jest w tym część prawdy: dobra praca jest obowiązkiem każdego, jednak należy się za nią nie tylko urzędowa pensja, ale i uznanie. Sprawia ono pracującemu zasłużoną satysfakcję, mobilizuje do jeszcze lepszej pracy i zachęca innych do naśladowania.

Sami dobrze o tym wiecie, jak wielkie znaczenie ma dla was dobry stopień, a zwłaszcza słowa uznania nauczyciela, rodziców, czy choćby kolegów.

Na pewno często stykacie się przelotnie lub stale z ludźmi dobrej roboty: uprzejma ekspedientka mimo nawału pracy załatwia was sprawnie i grzecznie; solidny rzemieślnik wykona zamówienia na czas, nie tylko bardzo dobrze ale jeszcze doradzi to i owo; miły urzędnik uważnie rozpatrzy sprawę i poinformuje dokładnie, jak dalej ją załatwiać; wysoko kwalifikowany operator dźwigu tak precyzyjnie manewruje ciężkim sprzętem, że wzbudza tym podziw obserwatorów.

Przykładów takich jest na pewno bardzo dużo, a świadczą one o tym, że jest u nas wielu ludzi, których jakby drugą naturą jest dobra robota.

KORESPONDENCI!

Zbliża się 1 Maja — Święto Pracy. Jest to znakomita okazja do zwrócenia szczególnej uwagi na ludzi dobrej roboty i wyrażenia im należytego uznania. Zwracamy się więc do was z prośbą: piszcie do nas o ludziach, którzy — waszym zdaniem — zasługują na szczególne wyróżnienie za dobrą robotę.

Korespondencje wasze na ten temat będziemy drukowali w miarę ich napływania. Z niektórymi ze wskazanych przez was osób nawiążemy kontakt, żeby szerzej napisać o ich pracy i życiu.

UWAGA!

Pisząc do nas o ludziach dobrej roboty pamiętajcie, że korespondencja na ich temat może zawierać:

1. Opis konkretnego wydarzenia, na podstawie którego doszliście do wniosku, że o tym właśnie człowieku należy napisać (co się zdarzyło, gdzie i kiedy).

2. Własne uzasadnienie lub zasłyszane opinie mówiące o tym, dlaczego temu właśnie człowiekowi należy się szczególne uznanie.

3. Imię, nazwisko, zawód i ewentualnie adres człowieka dobrej roboty.

4. Dokładny adres własny.

Listy wysyłane najdalej do dnia 15 kwietnia 1973 r., adresujcie: **„Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa** z dopiskiem na kopercie: **„DOBRA ROBOTA".** Dziękujemy! Autorzy najciekawszych korespondencji będą nagrodzeni specjalną odznaką korespondentów „Świata Młodych" i wpisani do rejestru Ligi Korespondentów.

WACŁAW BISKO

KORESPONDENT ŚWIATA MŁODYCH

Redaguje
Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Dziś ucieszę zbieraczy palindromów. Otrzymałem świeżutki transport od Kamila Limaka i Joasi Pałys. Tym, co nie wiedzą, wyjaśniam: palindrom to takie słowo lub zdanie, które można czytać w obydwie strony. „Kamil Limak" to też oczywiście palindrom!

MILI, KUMA DA MU KILIM
JADŁA — DODAŁ — DAJ
ONO MI KAŁA KIMONO
A SPAŁA I NAGO
POGANIAŁA PSA
E, I MAŁA NAGANA ŁAMIE

To były palindromy przysłane przez Kamila, a teraz przedziwny palindrom Joasi:

RIKA FIKA JAK KAJAK I FAKIR

Joasia przysłała mi też „zdanie ortograficzne":

„Przczoły prodókóją w krztałtnych óiah słodziónny miut"

Oto anegdotka przysłana mi przez Jurka Stepańczaka:

Na lekcji geografii odbywa się wykład o Himalajach. Pod koniec wykładu profesor zauważa, że jeden z uczniów podniósł rękę.

— Wicusiu, chcesz o coś zapytać?

— Raczej dodać, panie profesorze — odpowiedział Wicuś wskazując na mapę — że po Himalajach łazi pluskwa...

Do zobaczenia!
Wasz RZEP

— Panie, ocknij się pan! Wiosna!
Rys. Włodzimierz Lewiński

WYSZPERANE DLA RZEPA

Nagrodę „Szperacz Tygodnia" otrzymuje Wiesiek Kasprzak.

— Skąd wziąłeś taki piękny kwiatek, synku?
— Od sąsiada...
— A czy on wie o tym?
— No, chyba! Przecież mnie gonił!...

Wyszperał Stasiek Bojanowski

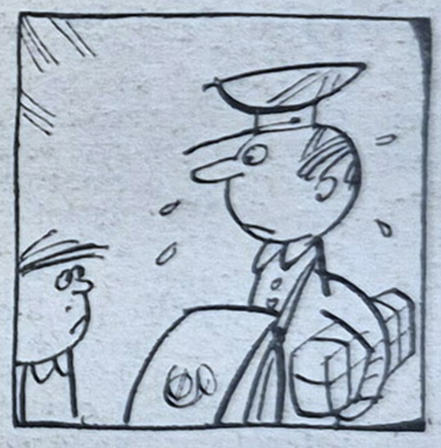

— To noszenie listów jest chyba bardzo męczące.
— Oj, bardzo, synku...
— To dlaczego nie wyślesz ich pan pocztą?

Wyszperał Wiesiek Kasprzak

— Adoptowaliśmy je z Francji. Jak zacznie mówić, nauczymy się od niego po francusku...

Wyszperał Henryk Cichy